

L. Ciechanowiecka

Czterdzieści lat na scenie

Rozmowa z Michaliną Łaską

Gdyby Warszawa była Paryżem, a Michalina Łaska paryską „gwiazdą”, to dzisiaj zamiast emerycką biedę klepać, mieszkałaby w stylowym pałacyku, miałaby spewnością własny teatr, legjon sekretarzy i występowałaby gościnnie w „Damie od Maksyma”, poraz tysiąc któryś z rządu. Pisanoby o niej w „Candidach” i „Marianach”, karykaturyści uwiecznialiby jej charakterystyczną twarz, pisanoby o niej z rozrównieniem, czasami uszczypiliwie, ale zawsze serdecznie, jak o kims bardzo bliskim i drogim. Byłaby najmniej sławna i głośniejsza, niż Sorel i Mistinguett, możeby tam czasami ktoś zapytał, że „Dama od Maksyma” dawno wyszła z lat balzackich, ale zarządy ripostowano, że właśnie ta żywotność znakomitej aktorki jest czemś godnym uznania i podziwu...

No ale Warszawa nie jest Paryżem, a Michalina Łaska nie urodziła się nad Sekwaną. Ta, która przez szereg lat bawiła Warszawę, rozśmieszała ją do łez, rozpraszając smutki i przedwojenną melancholię (byliśmy przecież wtedy krajem okupowanym) — porwijając, szalona, pełna radości życia Łaska, która przez lat zgórą czterdzieści występowała na deskach scenicznych, dzisiaj przypomina się Warszawie jako jubilatka. Jubileusz Mistinguetty byłby dla niej naprawdę świętem — Paryż dziękowałby hałaśliwie i serdecznie tej, co śmiechem swym bawiła tłumy, o jubileuszu Łaskiej dowiedzieliśmy się niemal przypadkowo, z krótkich wzmianek dziennikarskich.

KRÓLOWA HUMORU

Nie w pałacu, ale w małym, skromnym pokoiku „przy rodzinie”, nie swojej, mieszka emerytowana królowa humoru. Ale przypuszczam, że tamte świetne, nadekscytowane gwiazdy nie potrafiłyby z takim wdziękiem i wielkopolskim gestem przyjmować od lesu zarówno upominki, jak i cięgi. Pani Łaska ma w sobie niespożyty energię, ma ten cudowny fluid, który sprawia, że czy to w apartamentach, czy w skromnym sublokatorskim pokoiku, w salonach, czy w szpitalu, w którym przeleżała zgórą pół roku, złożona ciężką chorobą — zachowuje się tak, jakby wszystko, co ją spotkało, było radością niespodzianką. Pomimo, że czas wyłoblił cieniutkie zmarszczki na jej wyrazistej, a wymierzowanej przez chorobę twarzy, pomimo, że przycisnął rumieńce i czerwoność warg — oczy jasne, jak przejrzyste szafiry, płoną zawsze młodzieńczym blaskiem, a śmiech brzmi chwilami tak łobuzersko, jak wówczas, gdy osiemnastoletnia Michalina Łaska występowała w Poznaniu, w roli chłopaka od szewca, takiego, co wymyślał okupantom.

W tym małym, starannie utrzymanym pokoiku, mieszka miła, starsza pani, która ongi była ulubienicą Warszawy, a dzisiaj musi starać się o to, by zachćiano o niej pamiętać. Wprawdzie utworzył się komitet jubileuszowy, a zająca pani Cwiklińska, świetna artystka i „najlepsza z koleżanek” patroluje mu we własnej osobie, ale poza tem gronem ludzi obdarzonych dobrą pamięcią i wdzięcznie wspominających Łaskę — jest cała dzungla biurokratycznych „ukazów”, przepisów, pragmatów. Może właśnie ta biurokracja — chyba tylko ona — sprawiła, że Warszawa tak późno dowiedziała się o jubileuszu Łaskiej i że się go w gruncie rzeczy tak jakoś blado odchodzi, wetknawszy go niby sprzątnięty, a bezużyteczny do nowej sztuki, której premiera odbędzie się w piątek. Wszyscy ci, co się zbyt późno o tem dowiedzieli, mają słuszny żal do t. zw. „miarodajnych czynników”, które powinny były chyba znaleźć czas, aby godnie ufetować znakomitą przedstawicielkę farsy i operetki polskiej.

Łaska jest ze wszystkiego zadowolona — taka to już słoneczna natura. Nawet z własnych kłopotów i niepowodzeń śmieje się dzwoneczkowatym śmiechem i macha lekceważąco ładną

ręką, o delikatnej, jak perłowa, skórze. Co tam — tej zawsze było wesoło i wtedy gdy studenteria warszawska wypręgała konie z karety, odwołającej się do teatru, i wtedy, gdy w pierwszych latach głodowała w teatrze i zarabiała po parę rubli... Opowiada mi o tem z humorem, z werwą, siedząc na tapczanie, który jej służy za łóżko. W lustrze toalety odbijają się wieszaki na ścianach, zblakłe fotografie zgrabnej, cienkiej w talii, a szerokiej w ramionach pani, uśmiechniętej szelmowsko, z wicherem włosów nad czołem.

— Ale — ale — bobym zapominała — dodaje w pewnej chwili — ja wstąpiłam na scenę w roku 1892, a nie jak pisało w 1882. Miałabym w takim razie aż 80 lat. Rozsyłałabym się na scenie.

PENSIJONARKA NA SCENIE

— Mój pierwszy występ? To było prosię pani w Lublinie. Grano komedię francuską „Rodzina”. Grałam rolę młodzieńczej panienki. Wchodzę na scenę, mam powiedzieć — „jaki on jest śmieszny, ha, ha, ha...” A ja tymczasem jak zobaczyłam tłum publiczności, tak się zlekłam, że, wybkłam płaczącym głosem „moje” zdanie, i w bek. Ktoś mi szepnął — „niech pani wieje ze sceny”. Wyszedłam za kulisy, ciągnąc nogi, jakbym u każdej miała stukilowy ciężar. Zakuliśami obstarpił mnie koleś. „Co się pani stało? Czy co boli?”, a ja na to: — „nie nie boli, tylko się przestraszyłam”. Straszna była kompromitacja — bo wtedy pani, do teatru skończyła prosto z pensji pani Zaleskiej. Tam mi tak w głowie przewrócono, że niby mam talent, bo w amatorskich przedstawieniach zbierałam laury. Jak tylko była rola łobuziaka, andrusa, czy dzwonecznik-urwipolecia, to zaraz Michalinę pchało na scenę. Wreszcie uwierzyłam, że jestem gotową aktorką. A tu tymczasem taki fatalny debiut...

Do teatru dostałam się przez znajomych. Był w Lublinie dyrektor teatru Puchniewski. Zaprosili go na herbatę. Zobaczył mnie i jakoś mu się wydałam odpowiednią na aktorkę, bo mnie zaraz zaangażował. Głodowałam okropnie. Trzeba było dorobić sobie, przepisując role przy świecach. Dwaście kop. od arkusza — więc się nagwałt kaligrafowałam po kilkanaście arkuszy. Tam, gdzie odnajmowałam pokój, dziwiono się, co też ta dziewczyna pisuje po nocach. Myśleli, że układam wiersze.

— Jakże też były gaże „gwiazd” lubelskich?

Znowu parska śmiechem na najwyższej nucie, a potem odpowiada niskim, trochę zawołanym głosem:

GAŻA — I RUBEL

— W Lublinie to się brało, co dali, aby starczyło na obiad, czy

na kolację. Po przedstawieniu rubla, a w niedzielę i po dwa ruble. Dyrektor był przyzwyczajony, jak zauważył, że początkujące szpiczaki głośnie, to całą bandę zapraszał na obiad. Wesoło było, chociaż i głód chłód dokuczał. Ale ludzie byli wtedy jacyś lepsi. Potem przyjechał do Lublina Fijałkowski, sekretarz teatru w Poznaniu. Bardzo był popularny. A dyrektor Dobrowolski, to był patriota, społecznik, figura znana w powiecie. Wydawał „Dziennik Poznański”, organizował wszystkie narodowe obchody, a aktorów trzymał tak krótko, jak braciśzków zakonnych. Gdyby która z nas poszła z kimś na kolację, to zapłaciłby do końca sezonu i dymisja. Zato gaże były uczciwe: najmniejsza aktorka brała trzysta i czterysta marek.

W tym poznańskim teatrze był taki rygor, jak w klasztorze. Niepunktualność uważano za grzech śmiertelny. Żeby walczyć porywności i grzoty, nie można było się spóźnić na próbę. Pamiętam raz krawcowa nie dała na czas sukni, a ja mam wystąpić w I akcie „Dzwonów z Corneville”. Krzyczę, płaczę, tłumaczę się, że krawcowa świnią, tymczasem dyrektor każe zacząć. Koleżanki wybiegły na ulicę, wyrwały

suknię z rąk krawcowej, która pędziła galopem i zaczęły mnie nagwałt ubierać: tył do przodu, rękawy z żeberkami dziwnie pokreślane, doś, że wyszłam na scenę skępowana, niby w pancerzu, z biustem ściśniętym, z garbem na plecach. Tchu mi brak, oczy mi wylażą, w skroniach wałęm młoty, ale nie — śpiewam i nagle zaczyna mi ciurkiem krew kapać z nosa. Zerkam w kulisy, patrząc, dyrektor stoi i piorunuje mnie wzrokiem, więc zlizuję krew spod nosa i śpiewam dalej. Ach — takich teatrów już niema. Ho, ho — to był teatr, proszę pani. Tam się nauczyłam porządku i punktualności. Od tej pory do dnia dzisiejszego nie spóźniłam się ani o pięć minut na próbę. W teatrze powinien być rygor, jak w wojsku. Bez tego ani rusz.

— Jakże role grywałam? Tylko wesołe. Śmiech — to mój żywioł. Gdy mi raz na odmianę dano rolę smutną, i — wszedłszy na scenę zawołałam: „Mój ojciec umarł!”, wynikł skandal. To było popularne wtorkowe przedstawienie po 50 fenigów na dole, po 10 fenigów na górze. Ludziska przychodzili z jedzeniem, ze sznycelami, przejmowali się strasznie, ale gdy wyrecytowałam swoje: — „Ojciec mi umarł” — zaczęli pękać ze śmiechu. — „Patrzcie —

nieżyłowa już dziś walka o minime, o kategorie i t. p. może prowadzić do poprawy bytu polskiego aktora. Dążyć do tego należy przez podniesienie poziomu artystycznego teatrów. Obecny sezon teatralny w Warszawie uczę nas wyraźnie, że tylko dobra sztuka, dobrze zagrana może liczyć na powodzenie. Zlepu przedstawieniu nie pomoże reklama i szumne zapowiedzi. Przez dobre przedstawienie trzeba iść do dobrego teatru, przez dobry teatr do poprawy bytu aktora.

Z. Z. T. będzie w myśl tej zasady rozwijał zwa działalność kulturalną, gromadząc wszystkie materiały, mogące być pomocą dla aktora w pracy artystycznej. Poza tem będą zorganizowane stałe prelekcje. Odczyty zapowiadają już: Perzanowska (wrażenia z Rosji), Jaracz (rozprawka o Papkinie), Benda (o reżyserji operowej).

Pomoc materialna aktorom znajduje przedewszystkiem wyraz w zorganizowaniu pośrednictwa pracy. Odmienne jednak od dotychczasowego systemu, na czele biura pośrednictwa pracy stanie nie urzędnik, ale człowiek doskonale obznajmiony z polskim materiałem aktorskim.

do zjawiska krytyka nie powinien się pokrywać ze sposobem historyka, chociażby nawet krytyk stał wobec faktu historycznego. Będę szczerzy: niezupełnie jasno jeszcze zdaje sobie sprawę, jak powinno wyglądać idealne rozwiązanie tego zagadnienia, ale metoda uciekania się do pomocy historii, stosowana przez naszych krytyków, mnie nie zadawała.

Pisząc o wystawie belgijskiej będę się starał, w miarę możliwości, jej nie używać. Proszę tylko mieć na uwadze, że współczesna sztuka belgijska ma znakomitego przodka — malarstwo flamandzkie, które ze swej strony pozostawiało w częstych związkach z malarstwem holenderskim. Sztuka prymitywów flamandzkich: Van Eycka, Rogera Van der Veyden, Hugona Van der Goes, Memlinga, później Breugela i w 17-tym wieku: Rubensa, Van Dycka, Jordana, dała wspaniałe fundamenty belgijskiej kulturze plastycznej. Dla nas to jest ważne, w jakim stopniu te znakomite i stare tradycje zaważyły na poziomie współczesnego malarstwa Belgji.

Dobra stara kultura nie mogła oczywiście swego rozkwitu, ustabilizować, raz na zawsze, na naj-

Nowy

„Zawodowy Związek Teatralny”

Artyści zrywają z ZASP'em

W artykule wczorajszym o kompromitacji ZASP'u pisałem, że ZASP stracił najwiedźniej instynkt samozachowawczy, usuwając z grona swych członków najwybitniejszych polskich aktorów i śpiewaków.

Ten sąd już dziś znalazł potwierdzenie w wydarzeniach. Aktorzy niezadowoleni z działalności ZASP'u zakładają nowy związek p. n. „Zawodowy Związek Teatralny”, który urzeczywistni dawne postulaty Jaracza — jednoczenia w jednym związku wszystkich kategorii pracowników teatralnych, od aktorów i reżyserów zaczynając, aż do obsady technicznej skończywszy.

Jednym z założycieli nowej organizacji aktorów jest Karol Benda. Oświadcza on, że „Zawodowy Związek Teatralny” bynajmniej nie zamierza prowadzić walki z ZASP'em. ZASP jest konieczny, ponieważ ma jeszcze do uregulowania pewne, niezbyt przyjemne i szczytne sprawy (t. zn. afere „Teatru Artystów”), których należyte załatwienie jest kwestią honoru polskiego aktora.

Z. Z. T. pójdzie inną drogą niż ZASP. Założyciele Związku — Stefan Jaracz, St. Perzanowska, M. Zimińska, K. Benda uważają, że nie strona formalistyczna i

nieżyłowa już dziś walka o minime, o kategorie i t. p. może prowadzić do poprawy bytu polskiego aktora. Dążyć do tego należy przez podniesienie poziomu artystycznego teatrów. Obecny sezon teatralny w Warszawie uczę nas wyraźnie, że tylko dobra sztuka, dobrze zagrana może liczyć na powodzenie. Zlepu przedstawieniu nie pomoże reklama i szumne zapowiedzi. Przez dobre przedstawienie trzeba iść do dobrego teatru, przez dobry teatr do poprawy bytu aktora.

Z. Z. T. będzie w myśl tej zasady rozwijał zwa działalność kulturalną, gromadząc wszystkie materiały, mogące być pomocą dla aktora w pracy artystycznej. Poza tem będą zorganizowane stałe prelekcje. Odczyty zapowiadają już: Perzanowska (wrażenia z Rosji), Jaracz (rozprawka o Papkinie), Benda (o reżyserji operowej).

Pomoc materialna aktorom znajduje przedewszystkiem wyraz w zorganizowaniu pośrednictwa pracy. Odmienne jednak od dotychczasowego systemu, na czele biura pośrednictwa pracy stanie nie urzędnik, ale człowiek doskonale obznajmiony z polskim materiałem aktorskim.

do zjawiska krytyka nie powinien się pokrywać ze sposobem historyka, chociażby nawet krytyk stał wobec faktu historycznego. Będę szczerzy: niezupełnie jasno jeszcze zdaje sobie sprawę, jak powinno wyglądać idealne rozwiązanie tego zagadnienia, ale metoda uciekania się do pomocy historii, stosowana przez naszych krytyków, mnie nie zadawała.

Pisząc o wystawie belgijskiej będę się starał, w miarę możliwości, jej nie używać. Proszę tylko mieć na uwadze, że współczesna sztuka belgijska ma znakomitego przodka — malarstwo flamandzkie, które ze swej strony pozostawiało w częstych związkach z malarstwem holenderskim. Sztuka prymitywów flamandzkich: Van Eycka, Rogera Van der Veyden, Hugona Van der Goes, Memlinga, później Breugela i w 17-tym wieku: Rubensa, Van Dycka, Jordana, dała wspaniałe fundamenty belgijskiej kulturze plastycznej. Dla nas to jest ważne, w jakim stopniu te znakomite i stare tradycje zaważyły na poziomie współczesnego malarstwa Belgji.

Dobra stara kultura nie mogła oczywiście swego rozkwitu, ustabilizować, raz na zawsze, na naj-

ojciec jej umarł... „Lasce ojciec umarł!... Tak się spieszyłam, że nie wiedziałam co z tym ojcem zrobić. Publiczność poznańska była bardzo kochana. Przepadała za polskim teatrem. Nasz teatr był ogniskiem polskości, dawało się przeważnie patryjotyczne sztuki. Pamiętam, jako chłopak od szewca wymyślałam okupantom, używając najbrzydszych wyrazów, co wywoływało homeryczną wesołość.

I dalej snuje opowieść o bujnej przeszłości, o sukcesach warszawskich, rzewnie wspomina uroczą rolę „Loulou” Webera, bo w teni był i humor i lekka, i rozwydrzona „Dama od Maksyma” i wesołe wodewile, wspomina zabawne epizody z tournée po prowincji, wspaniałe spektakle na dobroczynne cele, dowody uznania ze strony prostactw i melomanów w cylindrach, co to w owych czasach zasypywali „diwy” pudłami cukrów, a scenę zamieniali w oranżerię pełną kwiatów.

DAWNE DOBRE CZASY...

— W owych czasach („za tych dobrych, dawnych czasów”) każda premiera była ewenementem. Daje słowo, że miasto jakoś inaczej wyglądało, tak odświętnie, jakby obchodziło czyjeś imieniny. Przed teatr zajeżdżały sznury prywatnych powozów i karet, panie kładły najpiękniejsze suknie i klejnoty, mężczyźni — fraki i cylindry. Dzisiaj teatr „to już nie to”, co dawniej. Wtedy nie było kina, nie było radia, ani rewji. Więc i aktorki były fetowane, jak żadna gwiazda z Hollywood'u.

Stosunek publiczności do aktorów był wzruszający. Wychodziło się na scenę i od razu czuło się upajający powiew sympatii, widać było w pierwszych rzędach rozpromienione twarze, witające uśmiechem starą znajomą.

Mały pokój z mgłą tiulowych firanek u okien, zarośli się nagle widniami przeszłości. Mogłabym przysiąc, że Lizystrata w dżemie, uwieczniona w otoku ram, poruszyła głowę i uśmiechnęła się do skromnie ubranej, młodej pani, o krótko przyciętych włosach (gdzież się podzielała bujna fryzura i alabastrowe, okrągłe ramiona); z innej fotografii mruga do nas porozumiewawczo młody huzar, o dziewczęcej twarzy, a chłopak od szewca, w czapce z daszkiem na bakier, zatrzymał się w biegu i patrzy niedowierzająco na szczupłą, bladą panią, która w piątek obchodziła czterdziestą drugą rocznicę scenicznego debiutu.

Niechże ten piątek stanie się dla niej prawdziwym świętem, niech Warszawa przypomni sobie ile chwil radosnych zawdzięcza Michalinie Łaskiej i niech jej zato pięknie podziękują. Taka okazja drugi raz już się nie zdarzy...

B. premier Jędrzejewicz na czele T.K.V.T.

Po ustąpieniu b. premiera Jędrzejewicza ze stanowiska szefa rządu, utrzymywało się przekonanie, że b. premier obejmie jedną z poważniejszych placówek kulturalnych — wymieniano przede wszystkim redakcję naczelną „Pionu”. Z chwilą gdy redakcję „Pionu” powierzono prof. Antoniewiczowi było do przewidzenia, że prezesura Tow. Krzew. Kultury Teatralnej, t. zw. „kaktusa” przypadnie prem. Jędrzejewiczowi.

Istotnie, wczoraj, na walnym dorocznym zebraniu T. K. K. T. wybrano nowy zarząd z Januszem Jędrzejewiczem na czele.

Pełna lista władz T. K. K. T. przedstawia się następująco:

Zarząd: b. premier Janusz Jędrzejewicz (prezes), wiceprezys Władysław Korsak (I wiceprezes), prezes Henryk Gruber (II wiceprezes), senator Wojciech Rostworowski (skarbnik), red. Wincenty Rzymowski (zast. skarbnika), dr. Władysław Zawistowski (sekretarz) i rektor Tadeusz Pruszkowski. Na zastępców członków zarządu obrani zostali: Leopold Staff, Zofia Nałkowska, Wojciech Jastrzębowski, Józef Redziński i Tadeusz Świąciecki.

Komisja rewizyjna: przewodniczący prezes Wł. Wróblewski, członkowie: prezes jen. Roman Górecki i prezes Kaz. Stamirowski, oraz jako zastępcy: Wacław Berent i sen. Józef Targowski.

Komisja rozjemcza: przewodniczący — ks. wiceminister Zonkołowicz, członkowie: prezes Wacław Sieroszewski, rektor Eug. Morawski, Piotr Chojnowski i mjr. Karol Krzewski.

Pozatem na zebraniu wczorajszym przyjęto do wiadomości sprawozdanie finansowe ustępującego zarządu oraz udzielono mu absolutorium na wniosek komisji rewizyjnej.

Z nauki i sztuki

— Zagraniczne sukcesy Marcyńskiego. Antoni Marcyński, autor sensacyjnych powieści, według statystyki dr. M. Ziomka najpoczytniejszy przez trzy lata rządzą autor w Polsce, zaczyna obecnie zajmować rekordowe miejsce w przekładach na języki obce. Paryski „Le Jour” drukuje w odcinku jedną z jego powieści, pozatem powieści Marcyńskiego ukazywały się w wydaniu książkowym we Francji, w Stanach Zjednoczonych, w Finlandji, na Węgrzech, w Brazylii, w Holandji, w Niemczech. W Czechosłowacji zaś wydano już 8 przekładów Marcyńskiego, dalsze 3 drukuje się równocześnie w kilku pismach, a w tłumaczeniu są jeszcze nowe trzy. Marcyńskiego nazywają zagranicą polskim Wallace'em.

— Triumf Jana Kiepury w Paryżu. Występy Jana Kiepury w paryskiej „Opera Comique” stały się wielkim sukcesem polskiego artysty. Na występie w „Tosce” był obecny prezydent Republiki Lebrun oraz Ignacy Paderewski. Między pierwszym a drugim aktem prezydent Lebrun odznaczył Kiepurę Krzyżem Legji Honorowej.

Malarze umieją malować, pochodzą z kraju, gdzie dobre malarstwo nigdy nie było rzadkością: dlatego cenią solidność swego rzemiosła i nie lubią posługiwać się niem dla sztuczki.

Z wielu zupełnie różnych obrazów można wyłowić wyraźne, wspólne znamiona kolorystyczne. Charakterystyczny jest z reguły ciepły i nasycony kolor, barwy: żółta, we wszelkich odcieniach, aż do brunatnej, pomarańczowej, ceglaste, czerwone i laki ciemne, aż do czerni. Zielone — tylko w ciepłych odmianach, chłodnej zieleni, ostrego błękitu prawie wcale się nie spotyka.

Skromna, ilościowo, grafika składa się przeważnie z metalorytów. Suchoryty i akwaforty, daleko lepsze od drzeworytów belgijskich, wystawionych na wystawie międzynarodowej, w zeszłym roku, w IPSie, aczkolwiek dość konserwatywne w ujęciu, wykazują niecierpliwie majsterstwo techniczne Najslabiej przedstawia się rzeźba, przeważnie impresjonistycznie traktowana i często z niewielkim zrozumieniem formy rzeźbiarskiej.

Wyjątkiem w tym dziale i jego ozdobą są prace słynnego Meuniera, piewcy pracy ludzkiej.

Wiktor Podolski.